Rozmaitości

Dnia 4. Grudnia | Ner. 49. | Roku 1841.

PRZYGODY WYCHODŹCA.

(Ciąg dalszy.)

Saint Jouan chociaż uderzony silnie w głowę, utracił tylko na chwilę zmysły i wypłynął wkrótce na powierzchnią, a odzyskawszy cokolwiek siły swoje, rozpłoniony gniewem puścił się za uchodzącym. Burza wichrzyła, niebo grzmiało okropnie, a rażący płomień błyskawicy dawał mu w oddaleniu dostrzédz uchodzącego Malescota. Każdą razą, ile razy błyskawica rozjaśniła powierzchnią morza, zmniejszało się między margrabią a zabójcą oddalenie, i tém bardziej natężał margrabia wszystkie siły swoje, im większą miał nadzieję dopędzenia złoczyńcy.

Ten obzierając się od czasu do czasu i spostrzegłszy, że przeciwnik coraz bardziej ku niemu się zbliża, płynął w rozpaczy. Szkatułka była mu na przeszkodzie. Gdyby go dopędził, nie mógłby się bronić; musiałby albo szkatułkę puścić, albo umrzéć. Ale Malescot już się tak był w chciwości swojéj zaciekł, iż wolał raczéj zginąć, niżeli nabyty skarb utracić. Jedyną miał nadzieję w z-oczeniu jakiéj skały, na którejby na chwilę szkatułkę złożył, a potém rzucił się z całą wściekłością na jéj właściciela, i pokonawszy go, w dno morza pogrążył! Ten zbliżał się właśnie coraz bardziej i zaledwo był jeszcze na pięćdziesiąt sążni oddalony, a do najbliższéj skały miał Malescot najmniéj dwieście kroków. Jednakże w sam czas do niéj zdążył; opłynął ją z pośpiechem, poczém zniknął; lecz wkrótce znowu się pojawił i prosto ku swojemu przeciwnikowi płynął. Gdy się obadwaj do siebie na cztéry do pięciu sążni zbliżyli, wszczęła się między nimi najzaciętsza walka, walka jakiéj nikt na świecie nie widział! W około obu, jakby w około zaledwo widzialnych dwóch punktów na niezmiernéj przestrzeni—jakby w około dwóch drobnych owadów, którémi każdy wełn w górę rzucał i które każdéj chwili o skałę mógł rozbić, srożyła się okropna burza. Atoli obadwaj bezwzględni na widowisko, które się ich oczom przedstawiało, nieczuli na rozlégający się huk gromów, obojętni na fale rozbijające się o ich głowy, szukali się nawzajem nie dla połączenia słabych sił swoich przeciw nawalnemu morzu, temuto potężnemu przeciwnikowi, lecz dla zadania jeden drugiemu śmierci pośród rozhukanych żywiołów!

Margrabia nie spostrzegł, że Malescot złożył na skale szkatułkę, sądził, że gdy nań uderzy, będzie miał tylko z jedném jego ramieniem do czynienia. Przypłynąwszy więc ku niemu dosyć blizko, podniósł się chyżo z wody i chciał rybaka za kark zchwycić. Ten będąc już na to przygotowanym, w téjże chwili, gdy się margrabia całym ciężarem swego ciała nań rzucił, porwał nagle pod wodę, i ująwszy go za gardło, usiłował zadławić pod wodą. Konwulsyjny i rozpaczliwy rzut margrabiego, zniweczył jego przedsięwzięcie, i obadwaj zadyszali wypłynęli znowu na powierzchnią; a że odtąd Saint Jouan miał się już na baczności, walka stała się równiejszą. Jeżeli Malescot był nieutrudzony i mniéj na siłach podupadły, za to przeciwnik jego był widocznie

lepszym pływaczem i nurkiem. Okrążał on swego przeciwnika z niesłychaną szybkością, nacierał nań z przodu, z tyłu i z boków, a to prawie w jednéj chwili. Już był Malescot otrzymał kilkanaście uderzeń, a chociaż takowe bardziéj zręcznie zadane, niżeli silne były, jednakże tak Malescota zagłuszyły, że już był w rozpaczy utracenia wraz z życiem i zdobyczy swojéj.

Z tém wszystkiém inaczéj los zarządził. W chwili, gdy Malescot dostał zawrotu głowy, dotknął się przypadkiem powrozu, którym był opasany. Wraz powstał w nim nowy zamysł. Powróz przeznaczony na ratunek, miał się stać narzędziem mordu. Zebrał wszystkie swe siły, pornął pod wodę, odwinął z siebie powróz, złożył go ściśło we troje, a na końcu zrobił duży, mocno ściągnięty węzeł; poczém wypłynął znowu na powierzchnię i utrzymując się na jedném miejscu, oczekiwał nowego natarcia swego przeciwnika. Ten sądząc, że mu już tą razą nie ujdzie, rzucił się nań z całą mocą, lecz go w téjże chwili Malescot uderzył mokrym, stężałym powrozem tak niebezpiecznie, że omal życia nie postradał. Téjże samej chwili rozdarła błyskawica chmurę, zabójca i nieszczęsna ofiara jego, mogli jeden drugiemu spojrzéć w oczy. Wtedy Malescot z dzikim tryjumfującym krzykiem ugodził raz jeszcze nieszczęśliwego powrozowym obuchem. Pod tym ciosem zniknął Saint Jouan w odmętach morza.

Nie tracąc ani chwili czasu, popłynął Malescot ku skale, na któréj skarb ukrył. Wyszedłszy na brzég, zarył szkatułkę w piasku i powrócił na to miejsce, z którego piérwéj był w morze skoczył. Strażnik czekał na niego.

»Cóż tam Malescot? nikogo nie wyratowałeś?«

»Nieżywych wyratować nie można. Nie znalazłem nikogo obywatelu.«

»Nieszczęśliwi! Dobranoc! Czyniliśmy co było w naszéj mocy.«

»Dobranoc!«

Od tego dnia zniknął Malescot i porzucił żonę i córkę.

Od tego czasu nic więcéj o nim w Saint Malo nie słyszano.

4.

Jesteśmy w Londynie w przepysznym pałacu Pall Mall. Upłynęło lat dziesięć. Na miękko wyścielonym dywanie rozłożył się otyły człowiek mający twarz prostaka, i obok dużego *bowle Grog* pali tytoń z krótkiej, długiém użyciem poczernionéj fajki. Człowiek ten ma na sobie nadzwyczaj cienki szlafrok; długie nogi jego spoczywają przy marmurowym kominku w papuciach tak wytwornych, iżby mogły zdobić Sułtana w powieściach arabskich. W pokoju, w którym go widzimy, wszystko okazuje przepych i bogactwo. Ależbo człowiek ten pomimo poczernionéj fajki i prostéj twarzy, jest wielkim panem; jestto emigrant francuzki, margrabia Saint Jouan, ostatni potomek znakomitéj familii, która się przedtém nieraz z książęcą krwią Bretanii łączyła. Margrabia opuścił Francyję na początku teroryzmu, ale nie przyniósł z sobą podobnie jak koledzy jego li tylko perukę i kilka starych pargaminów, lecz zaraz z początkiem rewolucyi starał się wszystkie posiadłości swéj familii, wszystkie pałace, lasy, pola i łąki przemienić na luidory i weksle, które do Londynu odesłał. Słychać, iż jest panem milijonowym, i takie ma roczne dochody, iżby za nie jaką dzielnicę miasta mógł zakupić.

Malescot (którego, jak się spodziéwamy, poznał już czytelnik w tym margrabi), po skończonéj rozmowie z strażnikiem cłowym, wykopał znowu swój skarb zaryty, i nie powracając już do chaty, skrył się pomiędzy skałami, i czekał nadejścia dnia białego. Wtedy zaczął się przypatrywać swemu skarbowi! W szkatułce był paszport i wszelkie dokumenta udowadniające: że właściciel ich jest margrabią Saint Jouan, tudzież ogromna suma w złocie i wekslach wypisanych na rozmaite domy w Londynie. Na widok tego bogactwa Malescot odszedł prawie od zmysłów! Rozdziawiwszy gębę i jakby zaczarowany dukwił przez cały dzień nad swoim skarbem. Za dotknięciem się złota, drżały mu ręce; licząc pieniądze, bawił się i płakał z radości; układał w kupki luidory i ustawiał z nich rozmaite fantastyczne i symetryczne figury; znowu je wsypywał w szkatułkę i znowu je łakomie z tamtąd wybiérał;

owo zgoła, nie posiadał się z radości. Przytém nie czuł ani skruchy, ani wyrzutu sumienia za popełnioną zbrodnię; tylko niekiedy zdawało się mu, że z dala jakiś groźny głos słyszy; wtedy obziérał się i nakrywszy sobą szkatułkę, pytał, ażali jest jaka siła ludzka, któraby mu ten skarb wydrzeć mogła!

Gdy nadszedł wieczór, uspokoiło się jego konwulsyjne wzburzenie. W zamyśle ucieczki, udał się prosto do jednéj z tych znanych kryjówek, w których przemytnicy przebywać zwykli. Jakoż niezadługo stanęła między nimi ugoda. Malescot zawinąwszy szkatułkę w szmaty swojéj sukmany, przyrzekł, że za przewóz pracą swoją odpłaci. W Southamptom, omal, że się wszystko nie wydało; lecz gdy i ta trudność pokonaną została, odtąd nie miał się już czego obawiać. Jakoż wkrótce zmienił on cały swój tryb postępowania, przybrał ton i minę człowieka bogatego. Całe miasto ubiegało się dla upiększenia domu margrabiego. Po upływie miesiąca prawie z książęcym przepychem wybrał się w podróż do Londynu ten, co do Southamptonu w lichéj sukmanie z szkatułką pod pachą przybył. Ale też szkatułka ta była rószczką czarodziejską w powieściach arabskich, zawierająca szlachectwo i bogactwo! — W Londynie kazał sobie wypłacić weksle i ujrzał się panem milijonowym.

Gdy pierwszy i najmocniejszy zawrót głowy wraz z śmieszną oryginalnością przeminęły, które zwykłe z tak nagłą zmianą stanu są nierozdzielne, wtedy nie wydawał się on bardziéj śmiesznym i bardziéj pospolitym, niż inni zbogaceni powszedni ludzie. Zaczął żyć wystawnie, dawał sute obiady, zadziwiał swym przepychem publiczność, zrywał nowe kwiaty w najmodniejszych teatrach, uczęszczał na gonitwy w New-Market i zwidzał domy gier. A że z początku zmuszonym był przestawać z równymi sobie, przeto nikt go nie miał za podejrzanego. Każdy człowiek zwykle mniéj więcéj bierze niezgrabność za otwartość, i zapomina, że druga częstokroć jest tylko płaszczykiem, który oszusta odziéwa. Z tąd obłudnik, już dla tego, że gra rolę, musi być wprawnym, przebiegłym aktorem. Atoli dla Malescota przykrą była nawet najmniejsza grzeczność, a jak przysłowie niesie: że na złodzieju czapka gore, tak też i Malescot sądził się być zdradzonym, jeżeli kto pewnym sposobem go powitał. Jakoż wkrótce przez sam instynkt otoczył się zgrają mniemanych wychodźców, ludźmi, którzy chełpliwemi słowy nad utratą swych posad ubolewali, i dla spekulacyi, nieszczęśliwe poświęcenie się udawali. Podówczas było mnóstwo takich ludzi w Londynie. W czasie gdy prawdziwi wygnańcy brali się żywo do pracy, naśladowcy ich udając, że są słabego zdrowia i ukształconymi ludźmi, starali się zniewolić sobie jakiego możnego pana i zjadali u niego smaczne obiady. Malescot panował im swoim bogactwem i żył swobodnie pomiędzy nimi.

Prócz tego dla spędzenia czasu, wpisał się do różnych towarzystw, i tak był członkiem towarzystwa wstrzemięźliwości, dobroczynności, i różnych klubów. Podówczas byłto dopiero początek cesarstwa, a panująca we Francyi modna mitologija, która pomimo zamknięcia stałego lądu, przez kanał się przedarła, nadała różnym klubom swoje nazwiska. Żokieje przezwali się Centaurami, opoje Sylenami i t. p.; pływacze zaś przybrali skromne nazwisko foków (psów) morskich. Malescot był niezgrabnym centaurem, lada jakim sylenem, ale bez wątpienia królem foków. W piérwszym z tych klubów urągano się z niego i upatrywano w nim nieprzebrane źródło niedorzecznych i już naprzód przegranych zakładów. Korzystano z jego nieznajomości koni, i za wielkie pieniądze przedawano mu stare szkapy do wyścigów konnych, na których on grube banknoty prawie z arystokratyczną obojętnością przegrywał.

Inaczéj miała się rzecz w klubie pływania. Przy nadzwyczajnym swym talencie i znaném nam łakomstwie, szedł ustawicznie o zakład a nigdy nie przegrywał. Po upływie roku wyrównały się poniekąd obadwa kluby. Foki morskie zwróciły mu to, co mu Centaury zabrały.

W chwili, w któréj go przed oczy naszych czytelników stawimy, przegrał był ogromne sumy w klubie Centaurów. Z drugiéj strony klub Foków nie nastręczał mu żadnego zysku; rzecz ta była już z-używana.

Był więc w bardzo złym humorze, że na jednéj stronie bez ustanku traci, a na drugiéj nic nie wygrywa, aż oto pokojowiec jego otworzył drzwi i oznajmił pana Smithsona.

Pan Smithson na sążnistym korpusie miał długą, chudą szyję, a na szczycie téjże chwiała się jedna z owych głów angielskich, które zdaje się, że dla malarzów karykatur są wyraźnie stworzone. Byłto człowiek, który z margrabią najczęściéj przystawał. Robił on w klubie, podobnie jak ten ostatni, bardzo ważne interesa, jednakże z margrabią nie chciał nigdy iść na wyścigi. I owszem, stawał on po nim zawsze w drugim stopniu i miał przytém udział we wszystkich zakładach margrabiego. Nie wiedziano właściwie z czego pan Smithson żyje; jednakże był on przyzwoicie ubrany, zdobywał się nawet na bardzo drogie kaprysy i wypłacał w klubie swoje długi z rzadką punktualnością. Reszta nie obchodziła nikogo.

Wszedł do pokoju i powitawszy swego kolegę znakiem Foków, podał mu z powagą palce. Potém wszczęła się między dwoma przyjaciołmi rozmowa, która już sama przez się była ważna, a jeszcze bardziéj przez skutki, jakie z tąd wynikněły.

»Sam tu Pitt!« rzekł Smithson. »Ukłoń się temu panu!«

Pitt byłto brzydki pudel, który położywszy się na brzuchu, przypełzał i podniósł łabę do góry.

»Dobrześ się sprawił, Pitt!«

Poczém pan Smithson zaczął głaskać psa z prawdziwie ojcowskiém przywiązaniem. Następnie zapalił sobie *cygaro* i zapytał margrabiego: »Cóż tam nowego słychać?«

»Ja nic nie słyszałem.«

»Jako, nic? wpan próżnujesz już przeszło dwa miesiące. Powiédz, na czémże czas przepędzasz? Nie taję się z tém, iżbym bardzo rad wygrał z tysiąc funtów szterlingów. Irlandczyk, który temu Pittowi lekcyje pływania daje, bierze odemnie gwineę za godzinę, a że Pitt codzień uczy się przez sześć godzin, więc te lekcyje wynoszą na miesiąc przeszło 300 funtów szterlingów. Jestto znaczna kwota, ależ pies ten dokazuje dziwnych rzeczy! Czy widziałeś go wpan? Sam tu, Pitt!... Prawdziwie, wypadałoby... Czy nie możnaby témi dniami szczęścia spróbować?«

Margrabia Saint Jouan dmuchając zwolna dymek przed siebie, rzekł: »Wszystko to nudzi mnie mój Smithsonie. Trudno już co wymyśléć. O cóżby można jeszcze iść o zakład?«

»Jeżeli tylko o to chodzi? Już nie możesz nic wynaleźć? Mnie nie zbywa na pomysłach. Czemużeś mi o tém nie mówił? Nie można zaprzeczyć — Sam tu, Pitt! — Nie można zaprzeczyć, jesteś ze wszech miar tęgim pływaczem, ale w pomysły nie bardzo wprawny. Czemuż wpan nie idziesz o zakład, że niosąc na sobie ciężar jaki, Tamizę przepłyniesz? Cóż wpan na to powiész, hę?«

Na ten tak skromny pomysł, który rokował bardzo wielkie korzyści, cisnął margrabia Saint Jouan swoję fajkę za okno i podskoczył z radości. Jakoż w saméj rzeczy upatrywał on w tym projekcie cały szereg nowych tryjumfów, całą przyszłość wygranych zakładów. Gdy piérwsza radość przeminęła, obadwaj ci ziemno-wodni mężowie zaczęli się stanowczo naradzać, jakiemiby sposoby dowcipny pomysł pana Smithson jak najkorzystniéj i najspieszniéj przywieść do skutku. Nareszcie zgodzili się na to, że nazajutrz zaproponuje margrabia nawiasem tylko mierny zakład, a pan Smithson podjął się do góry go pędzić.

»Lecz z jakimże ciężarem popłyniesz wpan?« zapytał ostatni; »ja sądzę, iż z ciężarem piętnastu do ośmnastu funtów...«

»Bal...«

»A najwięcéj dwadzieścia...«

Lecz margrabia wzruszywszy ramionami zaklął się, iżby mu wstyd było, mniéj niż pięćdziesiąt zaproponować.

Poczém pan Smithson razem z Pittem odeszli.

5.

W kilka dni po téj rozmowie w ubogiéj chacie niedaleko Towru siedział człowiek z dwiema niewiastami przy stole, na którym były zastawione nieobiérane ziemniaki, i zdawał się dosyć smaczno jeść tę ubogą potrawę. Jedna z niewiast była jeszcze młoda, lecz chorobą i zmartwieniem wynędzniała, druga, bez wątpienia jéj córka, jaśniała w całym blasku dziewiczéj piękności.

Człowiek ten mógł mieć lat dopiéro trzydzieści; pod zgrzebném odzieniem jego widać było męzką i oraz gładką postać. W czasie gdy dwie towarzyszki jego jadły wieczerzę bez najmniejszéj odrazy, młody człowiek zjadłszy kilka ziemniaków, odsunął od siebie talérz i zapadł w głębokie dumanie.

»Edwardzie«, rzekła młoda z tkliwością i niejakiém uszanowaniem, »dziś nie jesteś głodny?« Edward powstał i zaczął się po izbie przechadzać. Obiedwie niewiasty spojrzały jedna na drugą.

»Edwardzie, ty bierzesz znowu jak zwykle smutny los twój do serca«, odezwała się starsza.

»Przez miłość Boga, nie podawaj się rozpaczy, jeżeli nie chcesz, abyś i nas w rozpacz nie wprawił.« — Młody człowiek potarł się ręką po czole, jak gdyby chciał smutne myśli odegnać; poczém przystąpiwszy do niewiast i ścisnąwszy je za ręce, rzekł z wzruszeniem:

»Wiem o tém, że mi szczérze sprzyjacie; nie zapominam tego, ilem ci winien kochana matko, któraś mimo swego ubóstwa przyjęła do siebie biédnego rozbita i ostatni kęs chleba z nim podzieliła. Dzięki ci, dzięki, za ten uczynek dobroczynny. I tobie Maryjo, któraś mi wszystko oddała, co tylko twojém było na świecie: swoję rękę i serce. Dzięki wam obiedwóm, gdyż poszłyście za mną, aż do tego obcego kraju...«

»Edwardzie!« przerwała mu mowę młodsza niewiasta głosem przymówki; »nie mów tego, myśmy tylko powinności naszéj dopełniły.«

»O, i owszem, wyście więcéj uczyniły... Nie powinienem zapominać o dobrodziejstwach waszych, gdyż jest także inne wspomnienie, które mnie dręczy..«

»Jakie?« zapytała Maryja skwapliwie.

Edward chciał może odpowiedzieć, atoli zapytanie to obudziło w nim myśl pokonania samego siebie; dla tego odrzekł stanowczo: »Nic. Zakazałem ci Maryjo, pytać mnie o to. Są takie rzeczy, o których ci wiedzieć nie wolno.«

Młoda niewiasta spuściła w milczeniu na dół oczy, a łza potoczyła się po bladych jéj jagodach.

Wtém zastukano mocno do drzwi.

»Któżto się poważa?...« rzekł Edward z dumą, która bardzo od ubogiego odzienia jego odbijała.

Iwona, starsza z niewiast, powstała zwolna i poszła drzwi otworzyć. Chudy, nizkiego wzrostu, garbaty i koszlawy człowiek, wraz z drugim rosłym, w zwyczajnym ubiorze robotników, wszedł do pokoju.

»A dobry dzień, dobry dzień!« rzekł i zaczął szyjącym wzrokiem oglądać meble pokoju.

»Cóż wpan powiesz?« zapytał Edward.

»Kilka słówek tylko«, odrzekł człowiek nizkiego wzrostu wykrzywiwszy twarz swoje, bardziéj z powodu zawiedzionéj swojéj nadziei, a niżeli z powodu zapytania młodego człowieka; »ja tu długo nie zabawię, kilka tylko słówek powiém!« poczém z chrapliwym śmiéchem dodał: »Pan, jak widzę, już mnie nie poznajesz; w istocie nic masz w tém dziwu; gospodarz nie widuje się z czynszownikami swymi, jak tylko w dzień zapłaty, a że pan nie płacisz...«

»Czy już dzień terminu upłynął?« przerwał mu Edward z widoczném zdziwieniem mowę.

»Czy upłynął? Jeżeli pan pozwolisz, już podobno trzeci przemija. Czy mnie pan rozumiész?«

Na te słowa przeraził się Edward tak mocno swojém ubóstwem, jak gdyby je dopiéro téj chwili poznał. Iwona i Maryja przemówiły kilka słów błagających, atoli młody człowiek przerwał im mowę i rzekł: »Dosyć tego.«

»He! He! Słyszysz ty, Johnie?« rzekł gospodarz z uśmiéchem do swego towarzysza, który stanąwszy przy drzwiach dotąd milczał. »On mówi, że dosyć tego.«

»Tak jest, tak powiedział«, odrzekł John.

»I cóż ty na to powiész Johnie?«

John spojrzał z uwagą na pana Schupp, gospodarza domu, jak gdyby w zmartwiałéj twarzy starca chciał odpowiedź wyczytać; ale tysiączne zmarszczki, które w zygzak twarz starego lichwiarza poorały, były nieczytelném pismem. John umilkł.

»Jakże? Nie jestżeto rzecza zabawną?«

»Oddał się wpan z tąd!« odezwał się Edward do niego z fukiem.

»Hm! oddalić? A cóż będzie z mym czynszem, jeżeli łaska?«

»Jutro go wpan otrzymasz.«

»Jutro? Słyszysz Johnie. On mówi, że jutro. Ostatnią razą powiedział także: jutro.«

Młody człowiek zaledwo już powściągnąć się mógł od gniewu; jednakże po chwili zapytał go dosyć spokojnie:

»Czy chcesz wpan zaczekać do jutra?«

»Niech i tak będzie«, odrzekł po niejakiém ociąganiu się właściciel domu; dam się jeszcze raz uprosić. Ale jutro niezawodnie, bo inaczéj...«

»Dobrze! dobrze!«

»Inaczéj sędzia policyi wda się w tę sprawę.«

Pan Schupp mówił te ostatnie słowa już na progu i nie czekając na ich skutek, z przezorności zamknął drzwi za sobą. Po odejściu jego spojrzały matka i córka badawczym wzrokiem na swego towarzysza, który się ciągle w milczeniu po pokoju przechadzał.

(Dokończenie nastąpi.)

JESZCZE KILKA SŁÓW

O CHWILACH OSTATNICH POBYTU

NAPOLEONA NA WYSPIE Ś. HELENY.

Ilekroć dozwalała pogoda, używał Napoleon przechadzki w pojeździe lub konno; a prędko przebiegłszy szczupłe zakreśloną sobie przestrzeń, lubił często zwidzać ją w szczegółach. I tak, po skończeniu codziennego dyktowania, (bo układanie Pamiętników, było najmilszém dla niego zajęciem) poświęcał kilka godzin nauce angielskiego języka; ubiérał się od trzeciéj do czwartéj godziny, i wychodził późniéj w towarzystwie jenerała Bertrand, pana Las Casas, lub jenerała Fourgaud.

Wszystkie te wycieczki zwracane były ku sąsiedniéj dolinie; wracając, wstępowano zwykle do jenerała Bertrand, lub przeciwnie, zaczynano od tego, i, późniéj zapuszczano się w dolinę

Zwiédzając tym sposobem sąsiedztwo, zaglądano w rozrzucone po niém domostwa: we wszystkich mieszkała nędza i ubóstwo. Drogi były często nie do przebycia; lecz im były gorsze, im więcéj trudności miały do zwalczenia, tém więcéj upodobania zdawał się Napoleon z nich znajdować; byłoto dla niego jakby widmém swobody. Jedyną rzeczą, do któréj przyzwyczaić się niemógł, były angielskie szyldwachy, gęsto dla naglądania za nim rozstawione.

W zwykłych tych obiegach, obrał nakoniec Napoleon w środku doliny miejsce, na którém już się zwyczajnie zatrzymywano.

Jednego dnia zrobiwszy nową śród dzikich skał wycieczkę, odkrył ubogą zagrodę; otworzył drzwi i ujrzał się w małym ogródku, uemalijowanym, iż tak rzekę, kwiatami *geranium*, które młoda dziéwczyna poléwała. Dziéwczę to było jasno-włose i świéże jak jéj kwiaty: błękitne jéj oczy tak powabny miały wyraz dobroci, że zwróciły uwagę Napoleona. »Jak się nazywasz?« zapytał. — »Emely« odpowiedziała. — »Lecz imię twojéj rodziny?« — »Braston.« — »Jak uważam, bardzo musisz lubić kwiaty?« — »Niestety panie, z nich jedyne moje utrzymanie!« — »Jakto?« — »Codzień noszę do miasta bukiety *geranium*, a otrzymane za nie kilka penny, żywi mnie i odziéwa.« — »A twójże ojciec, matka twoja, cóż oni porabiają?« — »Nié mam ich panie«, odpowié dziéwczynka z głębokim żalem. — »Nikogo z krewnych?« — »Nikogó, obcą jestem wszystkim na téj wyspie. Przed trzema laty, ojciec mój, dawny podoficer w angielskim wojsku, i matka moja, wybrali się ze mną z Londynu, udając się, jak powiadali, do krewnych żyjących w Indyi, szukać w nich pomocy do zrobienia majątku. Byliśmy biedni: rodzice z wielkim trudem zebrali piéniądze potrzebne na tak daleką wędrówkę. Ale niestety! nie mieli oglądać jéj końca! Ojciec umarł w drodze, a kiedy okręt przybił do téj wyspy, nieszczęśliwa matka moja, była tak osłabiona, że porzucono nas tutaj. Długo, bardzo długo chorowała i nie mieliśmy żadnego sposobu. Chcąc trochę osłodzić nędzę naszę, umyśliłam przedawać kwiaty. Kupiec jeden z miasta, który, jak ty panie, zapytał o nasze położenie, ulitował się nad nami i dał nam tę chatkę; w niéj matka moja przyszła nieco do zdrowia, i żyliśmy tak dwa lata, utrzymując się z owoców tego ogródka. Przed rokiem biédna moja matka umarła! Bóg dobry ulitował się i położył koniec jéj cierpieniom. Zaleciła mi odwagę, i jak widzisz panie, posłuszną jestem, nie brak mi na niéj.«

Dziéwczynka skończyła zaléwając się łzami. W ciągu krótkiego tego opowiadania, twarz Napoleona widocznie malowała wzruszenie; głęboko zdawał się być przejętym. Słowa bez związku wychodziły z ust jego, potém wyraźniéj przemówił: »Biédne dziécię! cóżeś ty uczyniło Bogu, że cię tak nędznie los tu zarzucił? Dziwne zbliżenie losu! również jak ja, nié ma już ojczyzny, nié ma rodziny!... Ona nié ma już matki, ale ja, ja nie mam już dziécięcia!«

Domawiając tych słów, wykrzyk tém więcéj rozdziérający im dłużéj wstrzymywany, wyrywał się z piersi Napoleona; ukrył twarz w dłonie i duże łzy płynęły mu z oczu. Tak człowiek, którego strata dwóch najpiękniejszych tronów Europy, znalazła spokojnym i zgadzającym się z wolą losu, płakał na wspomnienie swego dziécięcia. Lecz prędko przybiérając znowu stałość, powiedział do dziéwczynki: »Chcę miéć pamiątkę moich odwidzin, ułóż mi najpiękniejszy bukiet.« — Emely zerwała najpiękniejsze kwiaty, a kiedy Napoleon dał jéj w zamian kilka sztuk złota, zawołała: »Ach! wielki Boże! dla czegoż pan dawniéj nie przyszedłeś; mamie mojéj nie brakłoby na niczém, onaby nie umarła!« — »Dobrze, dobrze! moje dziécię, sąto piękne uczucia; zobaczymy się.« — Patrząc wówczas na złoto, dodała rumieniąc się: »Nigdy nie będę mogła oddać wam dosyć kwiatów za tak wielkie pieniądze.« — »Spokojną bądź o to«, odpowiedział Napoleon, i wyszedł. — Wróciwszy do towarzyszów przechadzki, opowiedział im swoje odkrycie, szczęśliwym się być zdawał ze znalezienia nieszczęścia do osłody i pociechy; i odtąd młode dziéwczę powiększyło specyjalną nomenklaturę Longwoodu, nazywano ją: *Nimfą wyspy Heleny*.

W domowém bowiém kole, w gronie zażyłych, Napoleon miał zwyczaj nadawać nazwiska wszystkiemu co go otaczało; i tak naprzykład między innémi, — część wyspy, miejsce zwykłych jego przechadzek, zwała się: *Doliną milczenia*.

W kilka dni potém ubiérając się oświadczył Napoleon, że chce odwidzić swoję pupillę, i przedstawić ją swoim wiernym. — Znaleziono młodą dziéwczynkę, wiadomą już przybycia swego dobroczyńcy, ubraną w suknie świąteczne. Głęboko wzruszona, nie przeszłą wielkością dostojnego gościa, ale świéżém jego nieszczęściem, ile mogła najlepiéj czyniła honory ubogiéj swéj chatki, i małą wartość swojéj gościnności, uzupełniła wdziękiem w jéj oddaniu. Podała figi, kwiaty ogródka i wodę ze strumienia doliny w samym ogrodzie mającego źródło. — »Widzisz Najjaśniejszy panie«, powiedziała Napoleonowi, »czekałam ciebie. Nieszczęściem za późno uprzedzoną byłam o twojém przybyciu — inaczéj przyjęłabym ciebie częścią darowanego skarbu.« — »A ja mocno bym ciebie za to wyswarzył«, odpowiedział Napoleon. »Kiedy ciebie odwidzam, nic więcéj

nie chcę, jak fig twoich i wody, która jest wyborną. Pod tym jedynie warunkiem widzieć mię będziesz u siebie. Bo z tém wszystkiém i ja, również jak twój ojciec, jestem tylko dawnym żołniérzem, a żołniérz nie zawsze miał figi i wodę.« — Odtąd Napoleon zatrzymywał się często przed zagrodą. Emely wychodziła za wrotek, i podawała mu bukiet. Po chwilowéj rozmowie żegnali ją goście i udawali się daléj, rozwodząc się z pochwałami młodéj dziéwczynki. — W następnym roku, Napoleon począł uczuwać piérwsze ciosy téj choroby, któréj nie długo miał ulédz. Emely nie widząc swego dobroczyńcy, codzień chodziła do Longwood dowiadywać się o jego zdrowie. Oddawała bukiet i codzień smutniejszą wracała. Jednego dnia pracując w ogrodzie, usłyszała turkot pojazdu. Przebiegła drogę i stanęła w obec swego dobroczyńcy. Zaledwie na niego spojrzała: rysy Napoleona miały wyraz głębokiego smutku. — »Mocno znajdujesz mnie zmienionym, nie prawdaż moje dziécię?« — »Prawda, Najjaśniejszy panie; ale teraz prędko przyjdziesz do zdrowia.« — »Wątpię moje dziécię«, odrzekł Napoleon potrząsając głową z niedowierzaniem; »dziś jednak chciałem cię odwidzić.« — W istocie wysiadł z pojazdu i prowadzony przez hrabiego Bertrand, doszedł do chatki. — »Daj mi śklankę wody, kochana Emely; może ona przytłumi ogień, który mię pożéra... tu...« dodał, niosąc rękę do piersi. Dziéwczynka podała wodę, i skoro Napoleon wypił, schorzała twarz jego zupełnie wypogodziła się. — »Dziękuję! dziękuję! kochane dziécię«, wyrzekł z dobrocią; »woda ta uspokoiła moje cierpienia. Gdybym ją był wcześniéj pić zaczął, może!...« dodał podnosząc oczy do nieba; »lecz teraz już za póżno...« — »Jakże więc jestem szczęśliwą«, zawołała Emely, przymuszając się uweselić twarz swoję, »że ta woda ochładza ci bole; codzień będę ją tobie nosiła; ona ciebie ozdrowi.« — »Nie! nie! to na próżno, nie uwodzę siebie, kochane dziécię; to moje ostatnie odwidziny. — Jest tutaj *dolore sordo*, co mię zabija (i Napoleon dotknął boku); lecz ponieważ już się więcéj nie zobaczymy, chcę tobie zostawić pamiątkę mojéj przyjaźni. Cóż mogę zrobić dla ciebie, czegobyś chciała?« — Na te słowa dziéwczę zalało się łzami, i upadło do nóg Napoleona, mówiąc: »Błogosławieństwa twego, Najjaśniejszy panie.« Napoleon błogosławił ją z tą uroczystą powagą, jaką nadaje wiara, — bo on miał zawsze zasady uczciwego człowieka i dla tego umarł po chrześcijańsku i żył z uszanowaniem dla swojéj matki. — Odtąd Emely święcie odwidzała Longwood. Nosiła kwiaty i wodę ze źródła, i codzień wracała smutniejszą: bo codzień więcéj zatrważające wieści o zdrowiu Napoleona przynosiła.

Jednego poranku kiedy słońce świetniéj niż zwykle płynęło, i kiedy Emely weselsza udała się do Longwood, — przybyła tam z tą dziecięcą nadzieją, którą jéj dawała tajemna ufność w wodę ze źródła. Powiedziano jéj wczoraj, że Napoleon miał się lepiéj; i wdzięczna jéj wyobraźnia utworzyła natychmiast cud, a tym cudem uzdrowienie Napoleona. — Przybyła... Lecz niestety! jakże rzeczywistość daleką była od jéj marzeń! wszystkich znalazła potrwożonych. Lękając się teraz o życie dobroczyńcy i chcąc przynajmniéj ujrzéć go jeszcze i ostatnie dać mu pożegnanie, żąda być wpuszczoną do niego. Odpowiadają, że jest bardzo źle, że to niepodobna. Prosiła, błagała, i łzy jéj tyle miały mocy, że ją nakoniec wprowadzono do pokoju Napoleona. — Była to uroczysta chwila, w któréj Napoleon otoczony wiernémi sługami, po długiém osłabieniu, podniósł się na łożu boleści. Wskazał, aby otworzono okno idące na Francyję, a po rozrzewniającém pożegnaniu ukochanéj ojczyzny, umysł jego opanowała gorączka, członki stężały w konwulsyjach, oczy wlepiły się nieruchomie, usłyszano jeszcze te kilka słów niewyraźnych i bez związku: »Synu mój!... Francyjo!...« i skonał! — Na te słowa, na ten widok młoda dziéwczyna upuszcza z drżących rąk przyniesione kwiaty, sama upada na kolana. — Póżniéj usiłuje schwycić rękę Napoleona zwieszoną za łóżko... Lecz razem głowa się jéj pochyla, usta blednieją, powieki się obciążają i zwolna usuwa się do stóp łoża, jak gdyby pod niezmożonym snem uległa... Emely już się nie obudziła. *B.*

(Wizerunki i roztrząsania naukowe.)

ZE LWOWA.

W tych dniach opuściło prasę drukarską ważne historyczne dzieło, o którém wspominaliśmy w naszém piśmie, pod napisem: *Pamiętniki o Koniecpolskich, przyczynek do dziejów polskich XVII. wieku*, wydał Stanisław Przyłęcki, nakładem Leona Rzewuskiego. Lwów w drukarni Piotra Pillera, w 8ce większéj, str. 452, czyli 28 1/2 arkuszy, drukiem drobnym, ale wyraźnym. Ozdobione dwoma portretami, na miedzi rytémi: sławnego w dziejach polskich Stanisława Koniecpolskiego, kasztelana krakowskiego i hetmana wielkiego koronnego, jakoteż ostatniego z téj rodziny Jana Aleksandra Koniecpolskiego, wojewody sieradzkiego. Prócz tego są dwie piękne drzeworyciny, wyobrażające zamek w Podhorcach, zbudowany przez hetmana Koniecpolskiego w r. 1637, i herb tejże rodziny a nareszcie dołączony arkusz podobizn podpisów *(facsimile)* sławniejszych ludzi, wspomnionych w tém dziele. O dziele tém, zawiérającém w sobie bardzo ważne materyjały historyczne, spodziéwamy się dać wkrótce obszerniejszą wiadomość, któraby czytającą powszechność dokładniéj obeznała z jego treścią, pod względem dziejów ogólnych dawnéj Polski.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 48. i obejmuje: 1) Ciężki, biały wczesny owies angielski *(avena sativa anglica)*. 2) Nowy sposób leczenia kołowrotu przez goździe. 3) O gorzelniach pędzonych z kartofli i ich sadzeniu w zbytecznéj ilości. 4) Sposób otrzymania słodkiéj mąki do robienia ciasteczek. 5) Wiadomości czasowe.

Ner. 23. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Kara za grzéch, powiastka. 2) Kobieta. (Ciąg dalszy). 3) Teatr.

Z Berlina dnia 9. listopada pisze *Gazeta Lipska*: »Dnia wczorajszego (8) dr. Cybulski, rodem z Wiel. Księztwa Poznańskiego, rozpoczął przy Uniwersytecie tutejszym, kurs swój o literaturze sławiańskiéj. Na piérwszéj prelekcyi swojéj rozwijał w przekonywający sposób, ile dokładniejsza znajomość życia umysłowego ludów tak blizko z Niemcami się stykających, publiczność niemiecką obchodzić powinna, chociaż ta dotychczas mało na to zwracała uwagi, i raczéj dokładniejszemu poznawaniu literatury ludów oddalonych, w których umysłowém życiu przecież pewna zachodzi stagnacyja, wiele pracy poświęcała i poświęca, nie wiedząc, że w literackiém życiu Sławian obecnie nowa zakwita era i wszędzie olbrzymich tam dostrzeżesz postępów. Jakoż w istocie panowały dotąd o stanie literatury ludów sławiańskich w Niemczech ohydne przesądy, pochodzące, jak każde przewidzenie, z niewiadomości; cieszymy się więc, że nam teraz nastręczono sposobność do otrząśnięcia się z tych przesądów i bliższego zapoznania się z niwą literatury sławiańskiéj a mianowicie polskiéj, aby Niemcy i Sławianie coraz dokładniéj i bezparcyjalnéj płody umnictwa i umysłowego życia swego poznawali, a tak wzajemnie się szanować i miłować nauczyli.« *(G. P.)*

Przedstawienie Maryi Stuart w Paryżu. W teatrze *Français* w Paryżu przedstawiono znowu Maryję Stuart, która liczną publiczność ściągnęła, że panna Rachel grała rolę Maryi, a panna Maxime rolę Elżbiety. Obiedwie te aktorki rywalizują z sobą na scenie, a Jules Janin utrzymuje, że Paryżanie tylko tę walkę nie zaś trajedyję Szyllera widzieć chcieli. »Ponieważ«, mówi paryski krytyk; »im częściéj słyszymy te szumne, »nadęte wiérsze, te ciężkie hemistychy i te przesadne, »wykrygowane peryjody, tém mniéj zalety upatrujemy »w niedołężném naśladowaniu téj dość miernej nie»mieckiéj sztuki! W tym dramacie nie są uczucia »prawdziwe, żal potworny, miłość szkaradna, a prze»strach na niczém, jak tylko na wrzasku o szafocie i kato»wskim mieczu uzasadnionym! Co większa, nawet spór »obu królowych jest czystém niepodobieństwem. Uważ»my przecie, że jedna z nich jest na tronie angielskim »w posiadaniu najwyższéj władzy, druga zaś uwięziona, »nieszczęśliwa: a nawet zbrodnią obarczona. *Lecz to nie »należy do rzeczy! Nic o to tutaj chodzi, ale raczej o to,* »aby panna Rachel i panna Maxime naprzeciw sobie »wystąpiły.« — Zdanie to wyjaśnia dostatecznie całe stanowisko, z którego Jules Janin na umnictwo patrzy! Toż samo o stanowczej scenie, w której obie królowe występują naprzeciw sobie, chce Jules Janin coś ważnego powiedzieć, a na nic więcéj zdobyć się nie może, jak tylko na samę estetyczną niedorzeczność. »Niejestto królowa angielska«, mówi on, »która walczy »z Maryją Stuart, ale pensyjonistka teatru francuzkiego, »aktorka, która z wielkim talentem i namiętnością śmia»ło stawi czoło królowéj teatralnej.« A więc podług p. Jules Janin dramat jest niczém! Umnictwo niczém! Jestto tylko walka kogutów, walka dwóch bohaterek teatralnych, tylko osobisty wyścig panny Rachel z panną Maxime, co Paryżanów do teatru zwabił, a co felletonista dziennika *Debat* w swéj krytyce najszczególniéj uwielbia? Otóż widzimy jak na zdaniu uprzedzonego, nie z zasad sztuki wychodzącego krytyka polégać można!

Różne mniemania o piękności i stroju. Niewiasty japońskie pozłacają sobie zęby, Indyjanki farbują je czerwono, a niewiasty Guzeratu i niektórych części Ameryki, tylko czarne zęby prawdziwie pięknémi być mniemają. W Grenlandyi smarują sobie niewiasty twarz błękitną, żółtą i czerwoną farbą, a Rossyjanki bielą się i różują. Niewiasty chińskie pędzą młodość w nieprzerwanych więzach dla uzyskania drobnych nóżek, którémi potem zaledwie chodzić mogą. W Persyi starożytnej, orli, jak najmocniéj zakrzywiony nos, zwany był nosem królewskim. W niektórych krajach płaszczą matki nos swoim dzieciom; w innych formują dzieciom głowę nakształt sześcianu. Turcy mają w takiém poważaniu rude włosy, jak Persowie w pogardzie. Niewiasty Eskimów, smarują sobie całe ciało niedźwiedzim tłuszczem, a Hotentotka zamiast girlandy z kwiatów, obwija sobie szyję, ramiona i kibić krwią ociekłemi jelitami. W Chinach wielbią i cenią tylko małe oczy, a młode dziéwczęta wyrywają sobie rzęsy z powiek. W Turcyi farbują sobie niewiasty brwi czarno, a paznogcie czerwono. Peruwijanki przekłają sobie nos, dla zawieszenia w nim pierścienia, którego ciężkość podług znaczenia dostojności ich mężów jest rozmaita. Wieszają nań także szkło, złote i drogie kamienie. Piękne niewiasty chińskie noszą na głowie figurę ptaka z złota albo miedzi, który skrzydłami osłania ich skronie, a rozpostartym ogonem głowę, dziobem zaś dotyka końca ich nosa. Głowa tego ptaka za najmniejszém poruszeniem téj, która go nosi, chwieje się na wszystkie strony. Myjanki mają jeszcze niewygodniejszy strój na głowę, to jest deskę stopę długości, a sześć cali szérokości, którą woskiem do włosów przymocowują. Z tego powodu tylko z wielką przezornością nachylić się mogą; lecz największéj niewygody doznają wtedy, gdy się im przez las przeprawiać przyjdzie. Dla rozczesania włosów muszą pierwéj wosk na głowie stopić; dla tego téż tylko dwa razy na rok się czeszą. W prowincyi Natal w Afryce, noszą niewiasty z wołowego łoju na sześć cali wysoką czapkę, którą tranem polewają tak, iż masa ta razem z włosami się spaja i trwa lat kilka, zanim odnowioną zostanie.

Rzadka wielkość owoców. Jakkolwiek upłynione lato nie bardzo owocom sprzyjało, jednakże na tegorocznej wystawie w Paryżu zwracały na siebie niektóre owoce szczególniejszą uwagę. I tak widziano tam winograd tak duży, jak winograd rosnący w ziemi świętej, mający jagody wielkości gołębiego jaja. Jeden melon był tak duży, iżby nim kilka stołów obdzielić można. Były także cukrowe buraki 10 do 12 funtów ważące; lecz najogromniejszym ziemiopłodem była przeszło dwa cetnary ważąca dynia *(potiron)*, w któréjby się człowiek wygodnie mógł pomieścić.

Zużycie cygarów w Lipsku. W Lipsku zajmuje się obecnie 160 domów handlowych sprzedawaniem cygarów, których przeszłego roku jeden tylko dom 1,397,000 sztuk z Bremy sprowadził. Zużywają tam rocznie w przecięciu 14 do 15,000,000 sztuk w wartości niemal 150,000 talarów; jednę połowę tego towaru zbywa ośm do dziesięciu domów tamtejszych, drugą połowę zaś inni kupcy sprzedają.

Zabytek źwiérza przedpotopowego. Do muzeum holenderskiego przysłano niedawnemi czasy wykopany koło Mastrychtu szkielet olbrzymiego źwiérza przedpotopowego. Jestto gatunek ogromnéj jaszczurki. Ważne zjawienie to zwróci na siebie zapewne uwagę wszystkich uczonych europejskich; gdyż szkielet ten ma 140 stóp długości.

Pokrewieństwo jak rzadko. Dziennik szwedzki »*Pszczoła*« donosi o sławném podwójném ożenieniu, które się niedawno w jedném z miast prowincyjonalnych odbyło. Pewien już podeszły wdowiec ożenił się z bardzo młodą dziewczyną, a w tymże samym czasie syn jego z pierwszego małżeństwa, ożenił się także z bardzo jeszcze powabną matką téjże dziéwczyny. Przezto podwójne ożenienie, powstał taki familijny stosunek, jaki rzadko w świecie się wydarza. I tak ojciec jest zięciem swego własnego syna; synowa swego teścia jest teszczą, a prócz tego swéj własnej córki pasierbicą, syn jest ojczymem swojéj macochy, a swego ojca teściem. Atoli jeszcze większa i dziwaczniejsza wyniknie z tąd zawiłość, gdy z tego podwójnego małżeństwa dzieci na świat przyjdą.

Opatrzność boska czuwa nad nami. W leżącym na ustroniu tartaku niedalko Durrwangen, ocknęło się o północy niemowlę w kołysce i zaczęło tak mocno kwilić, że go utulić nie można było. Nareszcie żona obudziła męża, aby zaświecił. Ten gdy poszedł do kuchni, spostrzegł, że cały dom płomienie ogarnęły. Za kilka minut byłaby niechybnie cała familija zgorzała. Prawie tylko cudem przebili się rodzice z pięciorgiem dzieci w gorejących już koszulach przez płomienie. Któż obrał to niemowlę za stróża i wybawcę rodziny? Niech nikt nie mówi, że przypadek.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.